



BALAZS MOHAI / AP / EAST NEWS

Skrajnie nacjonalistyczna partia Jobbik najchętniej anektowałaby Zakarpacie. Demonstracja w Budapeszcie, październik 2013 r.

Oblany egzamin Orbána

DARIUSZ KAŁAN z UŻHORODU, BEREHOWA I MUKACZEWA

Mniejszość węgierska na ukraińskim Zakarpaciu cieszy się prawami, o których Polacy z Litwy mogą tylko marzyć. A jednak Viktor Orbán atakuje Kijów, żądając dla niej nowych przywilejów.

WOJNA ROSYJSKO-UKRAIŃSKA SPRAWIA, że Viktor Orbán – do niedawna budzący respekt *enfant terrible* unijnej polityki – coraz częściej jest traktowany jak uczeń, którego każdy może wytargać za uszy. Zdumiewa ilość gaf węgierskiego premiera. W mediach społecznościowych popularność zdobyła np. riposta litewskiego ministra spraw zagranicznych na *bon mot* Orbána o tym, że nałożenie sankcji na Rosję to dla Unii strzał w stopę. „Lepiej strzelić sobie w stopę niż pozwolić, aby Rosja strzeliła ci w głowę” – odparł Linas Linkevičius i na chwilę stał się gwiazdą internetu.

Wcześniej Orbán wskazał na rosyjską „suwerenną demokrację” (w Rosji zwana

„demokracją sterowaną”) jako jeden z modeli do naśladowania, a ugodowe wobec Kremla stanowisko Węgier nazwał „beźstronnością”. Powadze nie sprzyjały też informacje prasowe – już zdementowane przez węgierski MSZ – że Budapeszt sprzedaje Ukrainie zużyty sprzęt wojskowy z lat 90., którego od dawna nie mógł się pozbyć.

Jeśli prawdą jest, że kryzysy to najlepszy sprawdzian dla aspirujących do politycznej wielkości, Orbán na razie ten egzamin przegrywa. Zamiast gasić pożary, wywołuje kolejne. A miejscem, gdzie igra z ogniem, jest Zakarpacie – region Ukrainy, którego co ósmy mieszkaniec jest Węgrem.

A może rozbiór?

Zła ocena sytuacji – to eufemizm. I tak łagodny, bo niektórzy gotowi byli przypisać Orbánowi łatkę potencjalnego agresora: po tym, jak w parlamencie ogłosił, że Węgry żądają autonomii i własnego samorządu dla swojej mniejszości z Zakarpacia – jednego z najgorzej rozwiniętych regionów Ukrainy, położonego już po południowej stronie łańcucha Karpat.

„W przypadku zaostrzenia sytuacji w obwodzie Budapeszt będzie gotowy wprowadzić wojska na terytorium Zakarpacia dla obrony swoich obywateli. Jest bardzo możliwe, że powtórzy się historia 1939 roku” – alarmowały po tym „Nowiny Zakarpacia”, największy portal regionu (w 1939 r. Węgry zajęły Zakarpacie, należące wcześniej do Czechosłowacji; z kolei po 1945 r. anektował je ZSRR – red.). Sytuację zaraz wykorzystała Rosja – głosem ministra Ławrowa ogłosiła, że mniejszości na Zakarpaciu są zagrożone, a winą obarczyła niestabilną Ukrainę.

Brytyjski historyk Timothy Garton Ash twierdzi, że przebieg wojny rosyjsko-ukraińskiej sprawia, iż każdy scenariusz – nawet ten, który do niedawna wydawał się intelektualnie ryzykowny – powinien być brany pod uwagę. Jednak czy na Zakarpaciu w ogóle jest potencjał do secesji? →

→ Gdyby poprzestać na tym, co piszą w internecie węgierscy nacjonaliści, okaże się, że nie tylko istnieje, ale jest poważnie rozważany. Słowa Władimira Żyrinowskiego, że Węgry wraz z Polską i Rumunią powinny przyłączyć się do rozbioru Ukrainy, są tam traktowane z całą powagą.

Mity swoje, polityka swoje

To prawda, Węgry od prawie stu lat żyją w poczuciu rozdzielenia, którego bieguny wyznaczają Węgry niespełnionych nadziei i Węgry okradzione z mocarstwowości. Pierwsze to współczesność; drugie – to odbicie w krzywym zwierciadle, trzykrotnie większa potęga z dostępem do morza, która na mocy układu pokojowego z Trianon z 1920 r. została okrojona z historycznej wielkości. Kraj utracił wtedy dwie trzecie powierzchni, z Siedmiogrodem i terenami obecnej Słowacji, Serbii, Chorwacji i Ukrainy – w tym także Zakarpacia, które przez ponad 1000 lat należało do Węgier.

Wydarzenia sprzed 96 lat to niezamknięty rozdział z podręczników. Flaga Wielkich Węgier jest popularnym gadżetem, znajdziemy ją w taksówkach czy barach, a do przywrócenia starych granic jeszcze niedawno wzywał Jobbik – antyeuropejska, antyromska i antyliberalna formacja, która po ostatnich wyborach do parlamentu zajęła drugie miejsce (z 20,6 proc. poparcia).

Ale mity mitami, a polityka polityką. – Nawet jeśli serce by chciało, to rozum powie stanowcze „nie” – mówi Wasyl Ilnickij, dziennikarz z Użhorodu, stolicy Zakarpacia.

Orbán jest politykiem szalenie pragmatycznym. Historyczne resentymenty czy wybory ideowe nie są dla niego najważniejsze. Przykłady? Będąc zatwardziałym antykomunistą, świetnie dogaduje się z Chinami i Rosją, z którymi dialog jest o tyle łatwiejszy, że – inaczej niż Unia Europejska – w zamian za kredyty nie oczekują od Budapesztu konkretnych rozwiązań w polityce gospodarczej i nie interesują się reformami konstytucyjnymi.

Z kolei w kraju rząd Orbána unika konfrontacji, starając się zadowolić jak najszersze grupy społeczne. Biednych pozyskano podniesieniem płacy minimalnej i obniżeniem ceny energii, a zamożnych – wprowadzeniem podatku liniowego. W polityce społecznej podejmowano działania prorodzinne, jednocześnie tolerując związki partnerskie osób tej samej płci i liberalną ustawę aborcyjną. W dużej mierze dzięki tej strategii Orbán ponownie wygrał wybory.

O co tu chodzi?

Orbán ma wady, w dyplomacji czasem porusza się jak słoń w składzie porcelany, ale nie jest szaleńcem. Ma wiele racji mówiąc, że tylko on potrafi zatrzymać radykałów z Jobbiku. W poprzedniej kadencji „podkupywał”

wyborców tej partii, wprowadzając do swego programu niektóre jej postulaty (jak osłabiony podatek bankowy czy obywatelstwo dla Węgrów mieszkających za granicą).

Wątpliwe jednak, by posunął się dalej. Dla Węgier jakakolwiek forma interwencji na Zakarpaciu oznaczałaby izolację międzynarodową, radykalne osłabienie pozycji w UE i NATO, zamrożenie relacji z innymi krajami z mniejszością węgierską. Czyli więcej kłopotów niż zysków.

O co więc chodzi Budapesztowi? – Węgry są największą mniejszością na Zakarpaciu. Według ostatniego spisu jest ich 150 tys., ale to dane zaniżone, bo nie obejmują m.in. części węgierskojęzycznej ludności romskiej – przypomina László Brenzovics, przewodniczący Stowarzyszenia Kulturalnego Węgrów Zakarpackich (KMKSz), największej w regionie partii węgierskiej. – Naszym celem jest zabezpieczenie praw i przywilejów tych ludzi – dodaje.

Postulat autonomii dla Węgrów z obszarów dawnej c.k. monarchii nie jest bynajmniej wymysłem Orbána: mówiły o tym wszystkie rządy, prawicowe i lewicowe. I to nie tylko dlatego, że gorliwość w walce o prawa mniejszości węgierskiej zawsze była wysoko oceniana przy urnach. Chodzi też o sprawiedliwość dziejową.

Koronnym argumentem dla zwolenników autonomii jest referendum z grudnia 1991 r., przeprowadzone równoległe z ukraińskim referendum niepodległościowym. Zostało zorganizowane w sprawie utworzenia Węgierskiego Rejonu Autonomicznego na obszarze berehowskim. Choć „za” było 87 proc. głosujących mieszkańców Berehowa i okolic, wyniki nie zostały uszanowane przez Ukrainę, zmagającą się przez całe lata 90. z tendencjami separatystycznymi na Krymie.

Praktycznie jak autonomia

Innym przyczynkiem do podjęcia przez Orbána tej sprawy akurat teraz były antywęgierskie prowokacje sympatyków ukraińskiej skrajnej prawicy – jak próba zniszczenia węgierskiego monumentu na Przełęczy Wereckiej czy podpalenie pomnika Petőfi'ego w Berehowie. Wywołały poruszenie w węgierskich mediach i zaktywizowały Jobbik, który zaczął wołać o cierpieniach, jakich rzekomo doznają tamtejsi rodacy.

To nieprawda – w regionie nie ma napięcia na tle narodowościowym, a wspomniane akcje były tylko incydentami. Co więcej, Węgry cieszą się naprawdę dużymi przywilejami: mają prawo do dwujęzycznych tablic w rejonie berehowskim, własnych partii, organizacji i mediów, placówek oświatowych (w tym szkoły wyższej w Berehowie) i węgierskojęzycznych wydziałów na Uniwersytecie Użhorodzkiem. Mogą także – w praktyce – posiadać zarówno ukraińskie, jak i węgierskie obywatelstwo. To efekt niedoskonałego prawa, które wprawdzie zakazuje posiadania podwójnego obywatelstwa, ale nie przewiduje żadnych kar. Wreszcie, w kilku miastach regionu urząd burmistrza sprawują miejscowi Węgrzy.

O czymś takim Polacy na Litwie mogą tylko marzyć.

– To przecież faktyczna autonomia – mówi Ołeksandr Woroszyłow, ukraiński dziennikarz z Berehowa, gdzie prawie połowa mieszkańców to Węgrzy. – Oni czują się dobrze na Zakarpaciu. Jeśli przedstawiają się jako ofiary, to po to, aby wyciągnąć z Węgier więcej pieniędzy.

To zresztą charakterystyczne, że o autonomii mówią głównie politycy z Budapesztu. Zakarpacie żyje innymi problemami: narzeka na brak pracy i korupcję. Albo niedoskonałą oświatę: w szkołach ukraiński jest wykładany przez osoby nieznające węgierskiego. – A to prowadzi do kolosalnych niedomówień. Oba języki są zupełnie różne, często nauczyciel nie jest w stanie porozumieć się z uczniem – twierdzi József Tarpai, przedsiębiorca z Użhorodu.

Natomiast o autonomii mało kto wspomina. Nie ma o niej mowy także w 6-punktowym porozumieniu z 1 maja, które ówczesny kandydat na prezydenta Petro Poroszenko podpisał z liderem KMKSz. Dotyczyło udzielenia poparcia dla Poroszenki przez społeczność węgierską – w zamian za rozwiązanie kłopotów językowych i miejsce dla przedstawiciela mniejszości w parlamencie w Kijowie.

To nie Krym

Dobre kontakty z Kijowem są ważne: na Ukrainie zaczynają się prace nad decentralizacją kraju, co może wzmocnić pozycję mniejszości. Zwolennikami reformy są i Poroszenko, i wszystkie ukraińskie partie parlamentarne. Finezyjne gry dyplomatyczne mogą przynieść Węgom więcej korzyści niż machanie szabelką przez Budapeszt. Bo nawet jeśli postulat autonomii nie jest czymś nowym w polityce Węgier, to żądanie jej w czasie wojny z Rosją było co najmniej nieprzemysłane.

– Teraz tutejsi Węgrzy muszą się tłumaczyć, że nie są separatystami, a my wszyscy, że Zakarpacie nie będzie drugim Krymem – mówi prof. Miroslava Lendel, politolożka z Uniwersytetu Użhorodzkiego.

Kryzys rosyjsko-ukraiński mógł sprawić, że Orbán, którym do niedawna w Unii straszono dzieci, odbuduje wizerunek odpowiedzialnego i racjonalnego męża stanu. Tymczasem jest chyba gorzej niż wcześniej. □

DARIUSZ KAŁAN

Autor jest analitykiem w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych.